

Prochy do prania

AUTOR: DOMINIK GAC

W *Kiedy stopnieje śnieg* fabuła jest pretekstem do uruchomienia psychologicznego seansu, jaki z rodzajowej scenki niepostrzeżenie sublimuje w oniryczny realizm. Spektakl wspaniale balansuje między nienachalnym komizmem a dojmującym smutkiem.

■ Zwykła tragedia. Jak grom, jak dzwon, co zwołuje rodzinę na wspólne dopełnianie pustki. Gotowanie zupy, polewanie wina. Zjadanie pamięci. A przy okazji pranie rodzinnych brudów. Zwykła rzecz. Wystarczyłyby święta albo niedzielny obiad. Dramatyczna strata wydaje się niekonieczna. Śmierć ma swoje prawa. Nie lubimy, gdy ktoś tak wiele wymaga – na dodatek bez uprzedzenia. To nam niszczy plany, psuje humor, gasi głos, zalewa oczy.

Kiedy stopnieje śnieg, sztukę Tomasza Walesiaka i Katarzyny Minkowskiej, którą w TR Warszawa wyreżyserowała współautorka, oparto na mechanizmie rozwiązywania zagadki. A właściwie na nabieraniu pewności co do natury rzeczy. To jak czerpanie wody dłonią. Nie wszystko ścieknie przez palce, zostaną fabularne wyjaśnienia, ale to, co najistotniejsze, wydaje się stracone. Jakby poznanie natury rzeczy możliwe było tylko przez chwilę. To „stan liminalny, w którym człowiek jeszcze nie może skonstruować w głowie tej myśli, że stało się to, co się stało” – powiedziała Minkowska w wywiadzie o miejscu, w którym znajdują się bohaterowie. Ale czy nie jest ową naturą rzeczy właśnie ta niemożność? To, co skonstruowane, choć trwałe i wyraźne, jest już tarczą, pancerzem. Ochroną przed tym, co apokaliptyczne, bo odsłonięte. Śmierć obnaża nie tylko brutalność świata, ale także nas samych. Czy przy okazji jakąś o nas prawdziwszą prawdę mówi – wątpliwe. Ale potrafi cofnąć w czasie, wyostrzyć kluczowe schematy osobowości. Wchodzimy do rodzinnych domów, spotykamy krewnych i znów stajemy się dziećmi. I zajmujemy się sobą – nie zmarłym.

Pomimo wspomnianej zagadki najistotniejsze rzeczy są jasne od pierwszych scen,

a nawet od lektury opisu na stronie teatru. Dziewczyna (Antonina Marcyniak) popełnia samobójstwo. Wychodzi do szkoły i już nie wraca. Chyba że jako wspomnienie. W *Kiedy stopnieje śnieg* duchów nie ma, jest tylko pamięć. Marcyniak pojawia się więc na scenie i na ekranach (z boku i w tyle sceny) – zawsze milcząca, obojętna. Już nie osoba, ledwie znak. Całej reszty dowiadujemy się z retrospekcji, a właściwie z przypominania, które uprawiają podróżujący wspólnie krewni jej ojca: Siostra (Izabella Dudziak), Najmłodszy brat (Jan Dravel) i Kuzynka (Justyna Wasilewska). Widzimy ich na ekranie, w aucie. Ale skąd i dokąd jadą? To właśnie zagadka. Nieciekawa? Na podtrzymywanie uwagi widza i kojące wyjaśnienie w finale – w sam raz. Nie o suspens tu przecież chodzi. Fabuła jest pretekstem do uruchomienia psychologicznego seansu, jaki z rodzajowej scenki niepostrzeżenie sublimuje w oniryczny realizm. Duża w tym zasługa niemilknięcej, elektronicznej muzyki Wojciecha Frycza, która tylko z pozoru ogranicza się do wypełniającego tło ambientu, w rzeczywistości wspomagając niezwykle puls. To w nim widzę największą wartość i tajemnicę.

Strona wizualna sugestywnie zakreśla przestrzeń: od realistycznego gotowania zupy i siedzenia przy stole, po surrealne fantazje. Te ostatnie najwyraźniej materializują się w zbliżeniu prac scenografa (Łukasz Mleczak) i artystów wideo (Agata Rucińska, Janusz Szymański). Na przykład w scenach, gdy w ustawionej głęboko ogromnej palce wiruje Matka (Aleksandra Popławska), i w to wirowanie wciąż obraz z kamery wędrującej pomiędzy pozostałymi postaciami. Pralka to wymowny symbol – krzątaństwa, oczyszczenia i transu. Wyrazisty jest też wąż, którego zabawkowym

wyobrażeniem owija się bohaterka. Prawdziwego gada oglądamy na ekranach. Zjada martwą mysz. Brutalność tej sceny zaskakuje. Zamykam oczy, uciekam od obrazu bezwładnego gryzonia. Byłby więc wąż znakiem samej śmierci? Tym laickim wariantem diabła nazywanego stratą? Wskazywałaby na to początkowa niechęć Matki, która jednak zmienia nastawienie, pojmując, że zwierzę należące do jej córki naznaczone jest tejże troską i miłością. Lakoniczny list, jaki Dziewczyna zostawiła, nakazuje rodzicom opiekę nad gadem. Może w tym jego życiu jest też element jej życia? A może wąż to symbol depresji, na którą prawdopodobnie cierpiała Dziewczyna – tak jak cierpieli jej krewni z poprzednich pokoleń i być może cierpieć będzie Ojciec (Tomasz Tyn-dyk)? Matka chyba już jest w środku. Bierze przecież jakieś tabletki. W rozmowach przypadkiem wychodzi na jaw, że to nie pierwsze samobójstwo w rodzinie. Ale czy na pewno samobójstwo? Nie chce tego przyznać Ojciec, z rzadka przełamujący stupor i forsujący opowieść pod tytułem: nieszczęśliwy wypadek. W podobnych fałszach i przemilczeniach skryte są historie śmierci wujka Szczepana, który zatrul się gazem i pradiadka, który się powiesił. To nie kłątwa, to fenotyp – uspokaja Dziadek (Mirosław Zbrojewicz). A co za różnica?

Przez cały spektakl czuję dziwne napięcie, gęste i przejrzyste jednocześnie. Widzę ostro, ale chwilami tracę pewność, co oglądam. Hipnotyczność przedstawienia jest niezwykła, choć znajoma. Z podobnych wydaje się ono złożone elementów, co bardzo dobry *Mój rok relaksu i odpoczynku* (2022), wyreżyserowany przez Minkowską w stołecznym Dramatycznym, ale też nieudany *Drama Club* (2023) – dyplom przygotowany ze studentami bia-

TR WARSZAWA

Kiedy stopnieje śnieg

scenariusz
Tomasz Walesiak,
Katarzyna Minkowska
reżyseria
Katarzyna Minkowska
dramaturgia
Tomasz Walesiak
scenografia
Łukasz Mleczak,
Katarzyna Minkowska
kostiumy
Jola Łobacz
reżyseria światła
Paulina Góral
choreografia
Krzysztof Lema-
-Szydłowski
wideo
Agata Rucińska
kompozytor
Wojciech Frycz
operator kamery live,
autor zdjęć i wideo
do spektaklu
Janusz Szymański

premiera 9 lutego 2024

Scena zbiorowa



foto: Wojciech Sobolewski / TR Warszawa

łostockiej filii Akademii Teatralnej. Konsekwentnie wracają zaburzenia psychiczne i używki. Współczesne młode i średnie pokolenie jest psychoaktywne. Nie przypadkiem Najmłodszy (Jan Dravel) to farmaceuta, który częstuje krewnych środkami uspokajającymi. Nie dziwi też lejący się alkohol – ot tak, mimowolnie, przezroczyście. Taka sytuacja, sami rozumiecie, butelka wina to przecież jeszcze nie patologia. *Mój rok...* był adaptacją powieści Ottessa Moshfegh, a scenariusz *Drama Club* powstał przy współpracy z obsadą i w odwołaniu do jej doświadczeń. *Kiedy stopnieje śnieg* jest gdzieś pomiędzy. To zamknięta dramaturgicznie struktura z autotematycznymi refleksami. Najwyraźniej widać je w monologu Kuzynki (Justyna Wasilewska) – filmowczynie, która zastanawia się, na ile może w swojej twórczości wykorzystywać doświadczenia swoje i rodzinne, zwłaszcza że jej matka (Magdalena Kuta) ma z tym problem. To właściwie jedyna scena, której pozbyłbym się bez żalu. Artysta problematyzujący kondycję artysty? Nuda, choć powszechna i chętnie przez twórców (wszelkich dyscyplin) uprawiana.

Kiedy stopnieje śnieg wspaniale balansuje między nienachalnym komizmem a dojmującym smutkiem. Za ten pierwszy odpowiada rozłaggniona Babcia (Maria Maj) – fanka *Gwiezdných wojen*, ale przede wszystkim Śred-

ni brat (Rafał Maćkowiak), któremu w rodzinnej układance przypada rola błazna. Bywa, że w żartach towarzyszy mu Najmłodszy, ale on jeszcze inny zakłada kostium – odpowiedzialnego ogarniacza. Trzeba jechać do kostnicy zidentyfikować ciało? Nie ma sprawy. O tym, że ciągle gotowość do pomocy i działania jest analogiczną do żartów czy złości strategią obronną, informuje latarnia, na której zatrzyma auto. Smutek reprezentują milczący przez większą część historii zdruzgotani rodzice Dziewczyny. Na to wszystko nakłada się piętro starszego pokolenia – wspomnianych dziadków i Ciotki (Kuta). A wraz z tym piętnem generacyjny konflikt. Najgorętszy u najmłodszych bohaterów – rówieśniczych siostr ciotecznych (Izabella Dudziak, Justyna Wasilewska). To reprezentantki dzisiejszych trzydziestolatków, którzy zdążyli już poznać język terapii i odpowiednią ilość życiowych doznań przykrości, aby mieć do rodziców pretensje, zwłaszcza do tak antypatycznych i despotycznych ojców, jak ten grany przez Zbrojewicza. I choć Minkowska i Walesiak rysują postaci grubą niekiedy kreską, to wobec każdej z nich pozostają życzliwi. Bohaterowie są jacy są w wyniku doświadczeń, ale też decyzji, które podjęli i strategii, które wybrali. W przypadku Ojca architekta to umiłowanie modernistycznego porządku, gdzie największą cnotą i przy okazji źródłem piękna staje

się użyteczność. Samobójcza śmierć w takim świecie to egoistyczny skandal zasługujący na potępienie. Zwłaszcza jeśli jej konsekwencją jest ingerencja w tak wiele planów, ile mieści się w jednym pociągu.

Spektakl w TR Warszawa nie uruchamia jednak etycznej dyskusji i nie roztrząsa moralnych dylematów. Wybuch pretensji Ojca nie jest przecież głosem w debacie o samobójstwie, lecz niekontrolowaną reakcją na zdarzenie, z którym nie potrafi sobie poradzić. Te kilka(naście) godzin to za mało. Jeszcze za wcześnie na zaklęcia w rodzaju: nie wracajmy do tego. Wciąż tu jesteśmy. Kręcimy się po mieszkaniu, wirujemy wokół pustki, która nie o Dziewczynie nam opowiada, lecz o nas samych. Przeglądamy się w niej. A im mniej łączyło nas ze zmarłą, tym więcej widzimy w jej odejściu własnej śmierci. Twórcy choć nie wprost, to przecież stawiają pytania o narzędzia, jakimi dysponujemy i które moglibyśmy w takiej sytuacji zastosować, aby jakoś tę liminalną sferę przeżyć. Wolni od religijnego gorsetu, uzbrojeni w psychoanalityczny oręż – nowocześni, świadomi, empatyczni i kreatywni. Czy to wystarczy? Finał dodaje otuchy, bo ów żmud animozji, w jaki zmieniła się sieć rodzinnych relacji, staje się czymś w rodzaju liny. A ta może nas – krewnych – połączyć i pomóc przejść na drugą stronę. Nie warto jej przecinać. ■